Rok 1937 31 stycznia Nr 5

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

OR-OT.

Srebrne dzwonki

(Kołysanka)

Dzwoń, dzwonku, dzwoń, srebrny,
Swój pacierz wieczorny,
Dzwoń, dzwonku, dzwoń, srebrny,
Hymn czysty jak łza;
Ku stronie podniebnej
Z wieżycy klasztornej,
Ku stronie podniebnej
Niech płynie pieśń twa...

Gdzieś w chacie wieśniaczej
Blask, pada z komina,
Gdzieś w chacie wieśniaczej
Modlitwy szept mknie:
Za chmurnych tułaczy
Śle prośby dziecina,
Za chmurnych tułaczy
Paciorek swój śle...

W cmentarną mknie ciszę
Twój odgłos srebrzysty,
W cmentarną mknie ciszę
Stęskniony śpiew ten,
I zmarłych kołysze
Na spokój wieczysty
I zmarłych kołysze
Na błogi, na sen...

Swój pacierz wieczorny
Dzwoń, dzwonku, dzwoń srebrny,
Swój pacierz wieczorny
W gwiaździstą ślij toń...
Z wieżycy klasztornej
Ku stronie podniebnej,
Z wieżycy klasztornej
Dzwoń, dzwonku! dzwoń... dzwoń...

Od Adasia Chmielowskiego do Brata Alberta

(Dokończenie)

Ale smutno jest w duszy Adama. Boli go zło na świecie, boli go ludzka nędza, pragnie czegoś innego niż tylko malowania choćby najpiękniejszych obrazów. Nie wie sam, co to ma być, co ma z sobą począć, aby zaspokoić pragnienie serca. Bierze nawet udział w zabawach wielkopańskich, bywa na balach, ale myśl ciągle zaprzątnięta cudzym nieszczęściem, cudzym bólem. Raz, w Krakowie, prosto ze wspaniałego balu wstępuje do przytuliska ostatnich nędzarzy w miejskiej ohydnej ogrzewalni. Widok, jaki tam ujrzał, wrył się w jego duszę na zawsze.

Myśli też o oddaniu się na zupełną służbę Bogu, próbuje życia zakonnego, wreszcie wyjeżdża na wieś do brata pod zaborem moskiewskim i tam wśród biednej ludności polskiej, śledzony na każdym kroku przez moskiewskich żandarmów, zasiewa ziarna miłości i nauki św. Franciszka. Powstają wśród ciemiężonego ludu, jakby dla pokrzepienia dusz w niewoli liczne koła tercjarzy. Władze carskie jednak grożą apostołowi więzieniem — musi więc czemprędzej opuścić dom brata i umiłowanych III zakonu.

Przybywa znowu do Krakowa. Pracuje, rozmyśla, tuli przy sobie w wła-

snej pracowni malarskiej biedaków, sprzedaje obrazy, by mieć grosz na ich utrzymanie, ale to wszystko jeszcze mu nie wystarcza.

Aż wreszcie nadeszła chwila, że jasno zobaczył, czego od niego chce Bóg. Przywdziewa gruby, szary habit zakonny i cały oddaje się na usługi biednym, nieszczęśliwym. Nie ma już na świecie dawnego artysty, malarza, Adama Chmielowskiego; jest inny człowiek: opiekun nędzarzy, najlepszy ich ojciec, przyjaciel — jest już tylko brat Albert. Zwyciężyło serce małego niegdyś Adasia; anielskie chłopię przemieniło się w męża świątobliwego, niby w polskiego świętego Franciszka, stając się chlubą polskiej ziemi.

Pod jego opieką i za jego staraniem w Krakowie straszliwa nora nędzy i zbrodni, t. zw. „ogrzewalnia“ zamienia się w błogosławiony przybytek dla bezdomnych. Sam troszczy się o żywność dla swych biedaków, chodząc i jeżdżąc prostym wózkiem za jałmużną.

Wkrótce przytulisko już pomieścić nie może potrzebujących, ale też i brat Albert widzi, że sam podołać coraz większej pracy nie potrafi. Pierwszych pracowników znalazł właśnie w tych, których do siebie przygarnął, później innych jeszcze przyciąga jego przepiękny przykład. Tak powstał nowy zakon w Polsce — zakon Albertynów. a wkrótce potem i żeński zakon Albertynek. Z czasem tworzą się dalsze przytułki i domy pracy, domy wychowania dla biednych chłopców i dziewcząt, z których wychodzą w świat ludzie uczciwi.

Dzieło brata Alberta rośnie, rozwija się pod widoczną opieką i błogosławieństwem Bożym, i dziś w całej Polsce już znani są ci najpokorniejsi z pokornych bracia pod zgrzebnym, szarym habitem, nie posiadający nic własnego, a wszystko oddający najbiedniejszym.

Choć lat już 20 minęło w święta Bożego Narodzenia od śmierci, pamięć o bracie Albercie nie wygasa. Przeciwnie: każdy dzień przymnaża mu chwały, i da Bóg, iż niedaleki ten dzień, kiedy w polskich świątyniach spojrzą z nad ołtarzy błogosławione oczy opiekuna ubogich, który od najrańszych dni swego życia dzielił się sercem z drugimi.

E. O.

U nas a w Japonii

Do najciekawszych krajów dla Europejczyka należy Japonia, jedno z najpotężniejszych państw azjatyckich. Sam naród japoński niejednokrotnie już wprawił świat cały w zdumienie swoją płomienną miłością ojczyzny, z której wypływa niesłychane jego bohaterstwo, odwaga i poświęcenie.

Japonię głównie zna się z jej utworów literackich, tłumaczonych na wszelkie języki świata, a może jeszcze więcej z jej sztuki malarskiej — niesłychanie odrębnej, pięknej i delikatnej. Wreszcie, na myśl o Japonii, czyli kraju „Wschodzącego Słońca“ przypominają nam się wieczyste tam trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów, z jej potężnym Fudżi-Jamą na czele. Ognista ta góra, wysokości 3,800 mtr., ma szczyt zawsze pokryty śniegiem. Spływająca z niej rzeka gubi się w okolicznych gajach wiśniowych na zboczach i u stóp wulkanu, który przedstawiany bywa na każdym niemal obrazie a choćby obrazeczku japońskim — jako góra święta i jako symbol Japonii.

Najmniej za to znane są zwyczaje tego kraju poza tym, iż wiemy, że w Japonii pije się w prześlicznych filiżaneczkach, świetną herbatę, której umiejętności przyrządzania nikt inny podobno nie posiada. W dodatku pije się ją siedzący na ziemi, gdyż w kraju tym w ogóle nie używa się kanap ani krzeseł, lecz mat, dywanów i poduszek rozkładanych na podłodze, podobnie zresztą, jak to bywa w Turcji i prawie u wszystkich narodów wschodnich.

A zwyczaje w codziennym życiu Japonii są bardzo ciekawe i wprost odwrotne niż gdzieindziej. I tak np. my w Europie po myciu wycieramy się suchym ręcznikiem, Japończyk zaś moczy ręcznik, następnie go wyżyma i dopiero takim wilgotnym ręcznikiem wyciera twarz. Kąpiąc się, mydlimy się w wannie, Japończyk poza wanną. My pod prysznicem zwykle stoimy, on siedzi. U nas kąpią się ludzie pojedynczo, każdy osobno, tam kąpiel w wannie jest jakby uroczystością rodzinną i zwłaszcza kobiety kąpią się wspólnie. My ubierając się, wciągamy zwykle najpierw pończochy czy skarpetki, Japończycy robią to dopiero pod koniec. Za to przy rozbieraniu zdejmują przede wszystkim pończochy, które są tam z palcami, jak u nas rękawiczki. My wchodząc do mieszkania, zdejmujemy przede wszystkim nakrycie z głowy, oni zaś najpierw obuwie.

U nas szyje się, trzymając nieruchomo materiał. w Japonii przesuwa się materiał w dół i w górę, trzymając nieruchomo igłę.

My stawiamy parasol rączką do góry, Japończycy odwrotnie; zaś zamkniętą parasolkę Japonki trzymają za sznur, przywiązany do dolnej części parasolki.

Używając nożyczek, naciskamy na dolne części czyli na uchwyty, tam naciska się na ostrza. U nas heblując, stolarz przesuwa hebel przede wszystkim od siebie i z powrotem do siebie, japoński rzemieślnik ciągnie zawsze tylko do siebie.

Jeździec dosiada u nas konia z lewej strony, przerzucając prawą ponad grzbiet zwierzęcia. Japończycy natomiast siadają na konia z prawej strony; szablę zaś noszą oburącz.

Gdy my ofiarujemy komuś podarek, wręczamy go odrazu. po powitaniu; w Japonii zaś na odchodnym, a obdarowany ogląda podarunek dopiero po odejściu gościa.

U nas słodkie rzeczy daje się po obiedzie, na t. zw. deser; u Japończyków przed obiadem. My, witając gości, wstajemy, oni robią to siedzący, co u nas byłoby uważane za obrazę.

Powszechnym zwyczajem w świecie zachodnim, w czasie żałoby, jest używanie koloru czarnego, w Japonii zaś właśnie biały strój jest oznaką żałoby. Za to do ślubu kładą tam kobiety suknie czarne, gdy u nas przecież panna młoda ubrana jest w strój biały, radosny, albo przynajmniej jasny.

Wreszcie zupełnie inaczej pisze się w Japonii, niż u nas i nawet inaczej niż po żydowsku, bo od prawej strony z góry na dół, posuwając się rządkami pionowymi ku lewej stronie.

Co najciekawsze jednak, a raczej godne podziwu, to to, że Japończyk w bólu ani w rozpaczy nigdy nie płacze, lecz się uśmiecha. Wprost obowiązek nakazuje mu pokazywać zawsze twarz pogodną, zwłaszcza wobec rodziców, przełożonych i przyjaciół. Nawet kobieta, gdy płacze, winna ukrywać łzy za rękawem „kimona“ (kaftan z szerokimi rękawami). Bólowi swemu oddaje się Japończyk w samotności, kiedy wie, że łez jego nikt nie zobaczy, i nikt przez to nie straci swej radości. Zdarza się więc nieraz, że Japończyk na widok swego domu w płomieniach — śmieje się. Największym zaś szczęściem dla Japończyka jest śmierć za ojczyznę.



— No, mój biedny maleńki... otwórz buzię troszeczkę... trzeba koniecznie łyknąć tych kilka kropelek lekarstwa... to nie dużo... tylko jedna butelka...

Mściciel z Zameczka.

POWIEŚĆ. Napisał Marian Warta.

(Ciąg dalszy).

Szedł szybko, oświetlając sobie drogę, a w myśli pytał sam siebie:

— Po co ja tam idę?

Kiedy znalazł się u kresu podziemnego krużganka, przystanął i nadsłuchiwał. Echa strzelaniny dochodziły tu wyraźnie. Nie ustała jeszcze.

Odsunął zasuwę i dostał się do piwnicznej komórki o szesnastu ściankach.

Znowu nadsłuchiwał, lecz teraz już dokładnie rozpoznając głosy, zrozumiał, że we dworze panuje straszne zamieszanie i rozlega się ogromna wrzawa.

Nacisnął sprężynę. Powoli, przezornie uchylił drzwi nad głową, wreszcie ukrywszy w kącie latarkę, wyszedł z podziemi, lecz drzwi za sobą nie zamknął, żeby móc w każdej chwili wydostać się stąd z powrotem.

Z altany, pośrodku ciemnego ogrodu, rozejrzał się dokoła, ze zdziwieniem widząc na wszystkie strony jaskrawe blaski.

Podniósł w górę głowę. Nad dworem jaśniała wielka łuna pożaru.

Widocznie podczas walki wszczął się ogień od jakiegoś granatu, cały bowiem magazyn siana, o którym jeszcze przed kilkoma dniami rozmyślał, że go podpali, stał w tej chwili w płomieniach.

Józef zbiegł po schodkach z murowanej altany i ze ścieżki ogrodowej rozejrzał się jeszcze lepiej

Za chwilę pożar rozszerzy się na sąsiedni dach, pod którym mieszczą się ogromne składy mąki, a poniżej wielkie masy zboża.

Pożoga przybrała już takie rozmiary, że nie może być mowy o tym, by się dało pochód płomieni powstrzymać. Cały dwór spłonie, cała twierdza pójdzie z dymem.

A tu bitwa nie ustaje. Obie strony walczą dalej. Huk strzałów miesza się z trzaskiem i sykiem pożaru, wszystko jednak głuszą pełne rozpaczy krzyki ludzkie

Naraz bliska rozmowa spłoszyła Józefa. Spiesznie odskoczył, kryjąc się za gęste krzewy.

Jakaś kobieta biegła za mężczyzną w mundurze. On był oficerem; w niej poznał Tyszecki dawną znajomą, pannę Julię, guwernantkę dzieci Boliwanowa.

— Szukam pana, kapitanie — wołała — pani Boliwanowa kazała powiedzieć, że nie ma innej rady, jak tylko poddać się natychmiast.

— Za żadną cenę — ofuknął ją dowódca załogi — Będziemy się bronili do ostatka. Odpowiadam przed swoją władzą przełożoną i nie zależę od pani Boliwanowej. C. d. n.

CO TO JEST?

Składa się z pana i z ramy, a łączy ich tylko małe kółko.



Jak polska pyza wędrowała

V.

Idź-że, Pyzo, do tej chaty,
Do gospodi, do bogatej,
Ta gospodia przędzie, tka —
To ci piękną suknię da.

(Ciąg dalszy nastąpi)